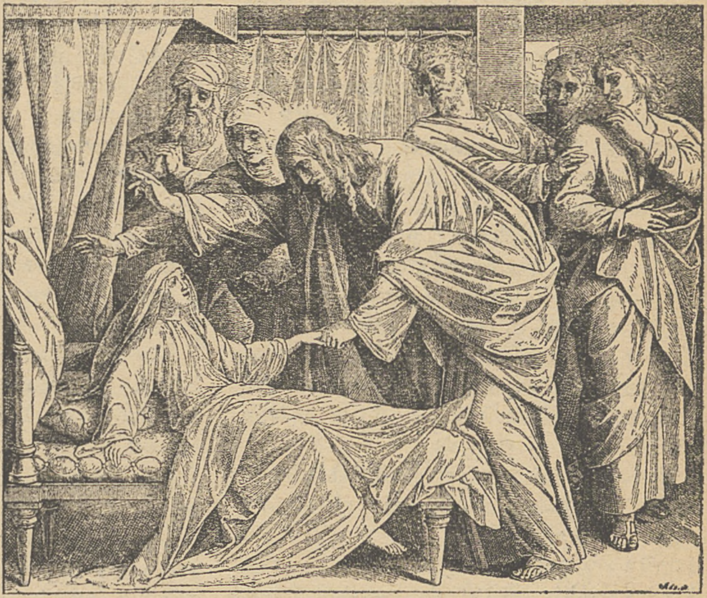
PROMYK BOŻY

Rok 6 Włocławek, październik 1952 r. Nr 11



Wskrzeszenie córki Jaira

Wśród przeszkód i przeciwności głosił Pan swoją Ewangelię. Lud prosty nie chciał odrazu zrozumieć tajemnicy duchowego królestwa Bożego, głoszonego przez Mesjasza. Dlatego Chrystus Pan mówił w podobieństwach i przypowieściach, które objaśniał z początku tylko uczniom.

Zbawiciel powrócił właśnie z nad zachodniego brzegu jeziora Genezaret i wylądował w pobliżu Kafarnaum. Z pośród tłumu, który Go otoczył, wystąpił pewien przełożony bóżnicy, imieniem Jair, i oddawszy mu pokłon, błagał Go, aby ratował jego dwunastoletnią córkę, która śmiertelną chorobą była złożona. Jezus natychmiast udaje się z nim w drogę, a uczniowie i mnóstwo ludu towarzyszą Mu. Wszyscy pragną przecież być świadkami uleczenia z choroby, która niechybną groziła śmiercią.

Wśród rzeszy znajdowała się pewna niewiasta, cierpiąca na krwotok od lat dwunastu. I ona słyszała o wielkim Proroku, działającym cuda w całej krainie, i w Nim położyła swą ostatnią nadzieję. Niepostrzeżenie, a stale podążała za Jezusem i cała drżąca, przystąpiwszy, dotknęła się kraju szaty Jego. Jakoż natychmiast uzdrowioną została. Jezus wszystko wiedzący odczuł, że moc wyszła z Niego, więc zapytał: „Kto się dotknął szat moich?" A uczniowie odpowiedzieli: „Widzisz rzeszę cisnącą się, a mówisz: Kto się mnie dotknął?" Wtedy spojrzał Mesjasz na ową niewiastę, ona zaś padła drżąca na ziemię i wyznała, co uczyniła. I rzekł jej Jezus: „Ufaj córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła: idź w pokoju".

Podczas gdy Zbawiciel rozmawiał jeszcze z ową niewiastą, przyszli domownicy Jaira z żałobną wieścią: „Umarła córka twoja, nie trudź Mistrza na próżno". Ale Jezus uspokoił złamanego boleścią ojca i udał się z nim do domu żałoby. Z godnością i powagą rozkazał Syn człowieczy usunąć z domu płaczki i grajków, mówiąc: „Nie umarła dzieweczka, ale śpi". I śmiali się z Niego. A gdy wyszli, udał się Chrystus z rodzicami dzieweczki i trzema uczniami swymi do izby, w której dzieweczka spoczywała na łożu, blada jak chusta, cicha i niema. Z

trwogą, ale też równocześnie ze słodką nadzieją stanęli zasmuceni rodzice, obok nich uczniowie pełni niepokoju. Jezus zaś ujął zmarłą dzieweczkę za rękę i rzekł łagodnie, jakby ze snu ją budząc: „Dzieweczko, wstań". A głos Mesjasza przeniknął aż do królestwa śmierci, i wstała natychmiast i chodziła.

Parada słonecznikowa

Podwórze szkoły podstawowej przytykało do ogrodu, który otoczony był niskim drewnianym płotem. Nad płotem rosły gęsto wysokie słoneczniki, o grubych łodygach, jak sztachety w płocie, o liściach szerokich, jak rozpięte fartuchy, o kwiatach olbrzymich jak kapelusze. Do tego ogrodu, przez drewniane sztachety, pod rozłożyste liście i schylone korony kwietne słoneczników — uciekali w czasie najdłuższej przerwy uczniowie szóstej klasy. Za tchórza uważano w klasie każdego, kto tam nie chodził. Leszek był wzorowym uczniem. Do ogrodu z kolegami jednak nie chodził.

Dzwonek na przerwę. Szóstoklasiści znów jak jeden, stoją przy płocie. Leszek przygląda się im. — Tchórz, tchórz — rozlega się szyderczy okrzyk kolegów skierowany do Leszka. Tchórz — woła echo odbite od ścian szkolnego gmachu. Chłopcy przesadzili płot i skryli się pod liśćmi słoneczników. Leszek został sam. Po chwili postanowił dowieść swym kolegom, że nie jest tchórzem.

— Pójdę do nich — pomyślał — przyjrzę się, co robią, a jeśli to będzie złe, zostanę sobą, nie dam się, owszem postaram się wprowadzić ich na dobrą drogę.

Kiedy uszedł parę kroków i rozgarnął liście słoneczników ujrzał — jak koledzy jego palili papierosy. A tak byli zajęci puszczaniem dymu, że nie zauważyli nawet jego obecności. Naraz poczuł Leszek onieśmielenie. Stał sam jeden, a przed nim gromada zuchwałych chłopców, skorych do pięści. — Teraz właśnie muszę dać dowód odwagi, stawić czoło nadarzającej się przeciwności.

Tymczasem dostrzegli go koledzy. W pierwszej chwili stało się cicho, jakby żywej duszy nie było. Koledzy wystraszyli się! — Szpieg — myśleli. Każdy z nich stał blady. Nagle zawrzało jak w ulu. Twarze chłopców poczerwieniały z gniewu. — Wyda nas! — wołano. — Zdrajca, zdrajca! — przezywano Leszka. Otaczano go przy tym coraz bardziej zwartym kołem. Gorętsi gotowali się już do kułaków...

Leszek stał spokojny, nieustraszony, wiedział, że od jego postawy zależy wiele — zawrócenie ich z drogi występnego nałogu. Spokój Leszka bardzo ich onieśmielił.

Rozluźnili ciasny pierścień, jaki w koło niego zatoczyli i z pewnej odległości zaczęli go przedrwiwać, silili się przy tym na głupie wyrażenia, które niby miały wykazywać ich męstwo. Niejeden z nich wstydził się w duchu tych przezwisk, ale cóż ,kiedy ani jeden z nich nie miał odwagi przyznać się szczerze, że wszyscy postępują źle.

— Podajcie mi papierosa — zawołał Leszek w pewnej chwili. Znowu zapanowała cisza i znowu przerwały ją okrzyki, gdyż myśleli, że wreszcie udało się im przeciągnąć na swoją stronę ostatniego ze swej klasy nieugiętego, wzorowego Leszka, któremu po cichu zazdrościli siły woli.

Skwapliwie podali Leszkowi zapalony papieros. Leszek przyjął go. Tym

razem pobladł. Serce waliło w nim jak młotem. Teraz albo nigdy, pomyślał. Lecz nie wahał się. Koledzy czekali na chwilę, w której Leszek po raz pierwszy włoży papieros do ust. Lecz zawiedli się. Leszek podniósł do góry i cisnął z całej siły papieros o ziemię przydeptując go nogami. Stał jasny i wyprostowany na oczach zdumionych kolegów i mówił do nich: — Pocóż macie sami przed sobą kłamać i oszukiwać się, że smakują wam papierosy, skoro wcale wam nie smakują. Widziałem, jak każdy z was paląc — pluje ukradkiem i krzywi się. Czyż i ja miałem was utwierdzać w tym kłamstwie i tchórzostwie. Miałbym też silić się na owe niegrzeczne wyrażenia po to, by się nimi w duchu brzydzić, jak brzydzicie się wy? Powiem otwarcie, co myślę: Palenie papierosów niszczy wasze zdrowie i przeszkadza w pracy nad wyrobieniem silnej woli, a silenie się na odwagę przez powtarzanie nieodpowiednich wyrazów, wbrew upodobaniu i przekonaniu — dlatego jedynie, że tak czynią źli chłopcy — nazywam szczytem tchórzostwa.

Poraz trzeci zapanowało milczenie... Chłopcy wstrzymali oddech w piersiach i stali ze spuszczonymi głowami.

Potem w uniesieniu porwali Leszka na ramiona. Inni powyłamywali zielono-złote słoneczniki i stanęli obok. Triumfalny pochód wszedł do klasy.

Z. B.

Sieroca dola Hanusi

Podczas wiosennej pracy w reglu tatrzańskim, jedno z walących się drzew przygniotło na śmierć Kurosa, ojca Hanusi. Nie pomógł ani szybki ratunek ani też nawet sam doktór. Ledwie, że zdążył nieszczęśliwy drwal pojednać się z Panem Bogiem, a coś w kilka dni później cmentarzyk wiejski powiększył się znów o jedną mogiłę...

Nie mniej i teraz rozpaczała Hanusia, jak po śmierci swego dziadka, a i łez też nie mniej może wylała, niż wtedy. Bo też i życie, bardziej czarne, otwierało się przed nią i dola czekała ją gorsza!

Wkrótce po pogrzebie macocha sprzedała łaciatą i jałówkę, a także kęs najlepszego pola, tłumacząc się tym, że nie może sama podołać robocie, a z Hanki nie ma żadnej wyręki...

— Rada ci jeno — mówiła z udanym oburzeniem, — coby lecieć hań do Walcoków pobawić ik Sobusia, abo ka indziej na posiady, byle w chałupie nie tknąć sie nicego!...

Ludzie jednak wiedzieli, jak ma się cała sprawa, i kiwali tylko głowami, patrząc z politowaniem na sierotę, dziś już całkiem poniewieraną i opuszczoną.

— Nie bajdurzcie, moja Kurosko! nie bajlujcie! Nie nom takie rzecy prawić! mówiły baby wsiowe do zrozpaczonej wdowy po drwalu, ujmując się za Hanusią. — Kieście sie podjena wychowania dziecka, to chowajcież, jak Pan Jezus przykazoł! a nie wydziwiojcie, kielo to dziewcencisko zje i co wom zrobi!... Mała jest jesce: sieły wielgiej ni mo! — dogadywały. — Ponieftora i tele nie zdole, co ona! a na despekt — to wom nie robi!!!

— — — — — — — —

Przyszło lato. Nie wiele podrosła Hanusia, lecz ile przez ten czas przeszła udręki i cierpień, ile łez wylała — Bóg tylko świadkiem. Dokuczała jej teraz nie tylko sama macocha, lecz także i ojczym, bowiem Kuroska zdążyła się już wydać za młodszego wprawdzie, od siebie, ale też awanturnika i w dodatku — pijaka!

Nic więc dziwnego, że dziewczę — po dawnemu — uciekało z chałupy i szukało osłody a częstokroć i ratunku u Walczaków, najbliższych sąsiadów.

A że Walczakowie byli honorni i dobrzy gazdowie, chociaż ta nie wiele mieli gruntu i tylko jedną krowinę dziopka czuła się u nich jakoś dziwnie swojo i bezpiecznie, jak nigdzie dotąd. To też, gdy przyszło lato roboty w domu prawie że nie było, nie jedną godzinę spędziła Hanusia pod tym błogosławionym dachem. Gwar-

niej tam było teraz i weselej, niż dawniej. W kołysce, zawieszonej u pułapu, myrdał nożynami półroczny Sobek a mała Jagniesia uganiała już dobrze po izbie. Staszek zaś skolnikiem jesce beł, choć umioł pieknie paciorek i pasterzowoł fkie trza beło, przy gęsiach...

Lecz niechno tylko zobaczył z dala Hanusię, idącą w ich stronę, zostawiał wszystko, nawet jedzenie, biegł na jej spotkanie, a widząc łzy w jej oczach pytał:

— Je, znów cie po... bi... li,!?

A gdy zagadnięta nic nie odpowiadała, ciągnął ją za rękaw ku chałupie, mówiąc:

— Chyboj ku nom!... Tu ci nic... nie zrobiom!.

I rzeczywiście. W cieple izby, śród roześmianych serc i twarzy — łzy prędko wysychały i na zmizerowanej buzi Hanusi pojawiał się często błogi uśmiech.

Bo i jakże nie cieszyć się radością i szczęściem innych? nie zaśpiewać swym cieniutkim głosikiem przeróżnych piosenek, jakich nauczył ją dziadek jeszcze za swego życia, a które to juhasi nucą po halach i polanach leśnych?!? albo nie opowiedzieć tej Sabałowej bajki, jakie to prawią prządki przy kąpieli na posiadach w wieczory zimowe, gdy wiatr huczy za oknami i miecie śniegiem dokoła po halach?!?

A Sobuś tak samo, jako i ona kiedyś, słuchał tych śpiewanek na góralską nutę i uśmiechał się do swej przygodnej piastunki...

Dziwiło to nawet domowników, że dziecko tak lgnie do Kurosówny i że zaraz płacze, gdy jej nie widzi! Z czasem jednak i oni sami bezwiednie przywiązali się do poniewieranej przez ojczymów sieroty i jak tylko mogli, starali się ją pocieszyć i osłodzić życie...

Co prawda, mieli i oni nieraz z tego powodu wiele nieprzyjemności ze strony niezgodnej sąsiadki, jednak tym zbytnio nie przejmowali się i wymówek jej nie robili do serca. Na odwrót — bardzo często ujmowali się jeszcze za poniewieraną Hanusią i stawali w jej obronie.

— Coz ta, fkie przyleci ku nom na filecke? — mówili Walczakowie — i pobawi się ze Sobusiem? Toz to jescek sama jest dzieckiem!!

Nic więc dziwnego, że dziewczyna odwdzięczała się im całym sercem, a małego Sobusia pokochała, jak brata.

E. Kłoniecki.

Zabiegliwe krasnoludki

Coraz chłodniej,
i dzień krótki,
więc gromadzą
już zawczasu
zabiegliwe
krasnoludki
na zimowe
dni — zapasy:

tutaj — grzybów
koszyk cały
na murawie
w słońcu suszą
i miareczką
ulęgałek,
co pod polną
były gruszą!

zaś w dębowym
cichym gaju
i w leszczynie
obok ścieżki
caluteńki
dzień zbierają
i żołędzie
i orzeszki!

A że każdy
się mozoli
i co może —
znosi, zgarnia, —
nic dziwnego,
że powoli
napełnia się,
ich śpiżarnia!...

E. Kłoniecki.

ŻABA I WÓŁ
(bajka)

Żaba zobaczyła ogromnego woła. Wiedziona zazdrością, zapragnęła mu dorównać wzrostem. Nabrała dużo powietrza i tak zaczęła się nadymać, aż w końcu pękła.

Zazdrość, pycha i mania wielkości doprowadza wielu ludzi do nieszczęścia, nie przynosząc im upragnionych rezultatów.